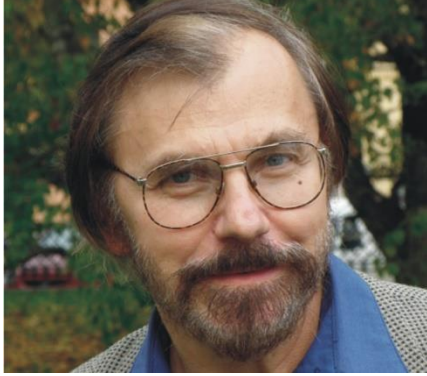


Listy do Pani A. (190)



Fot. Andrzej Dębowski

Rozmowy z Leninem

Droga Pani!

Bujnie rozrasta się maj. Mam nadzieję, że wyskoczę jeszcze przed wakacjami na Mazury. Ale kiedy zbliża się termin realizacji planów ogarnia mnie zniechęcenie, lęk jakiś przed podróżami, krótko mówiąc – lenistwo.

Tak było zawsze. Pamiętam, jak z entuzjazmem jeździłem na literackie festiwale, żal mi dotąd, że to imprezowe życie zamarło, a z drugiej strony jakoś cieszę się, że już nie muszę, bo nie ma dokąd. Dziwna ambiwalencja. Wciąż wspominam te podróże wraz z Krysią Konecką, Grażyną i Andrzejem Gnarowskimi z Warszawy do Kąsnej Dolnej, a potem z Zawiercia z Krysią. A tam koledzy poeci, m.in.: Andrzej Grabowski i jego syn Artur, Andrzej Krzysztof Torbus, Andrzej Dębowski, Lech Konopiński, Lam Quang My, Włodek Sztokman, Marek Wawrzkiwicz, Henryk Cyganik, Tadeusz Kwiatkowski-Cugow, Aarne Puu, Jan Tulik... Wszystkich kolegów nie jestem w stanie wymienić. Zresztą nie o to chodzi. Ich wszystkich mam w serdecznej pamięci. Dziś wielu już z nami nie ma, inni rozproszyli się po świecie, „transformacje” oraz epidemie pozrywały więzi, które teraz z wielkim trudem się odradzają. Ale to już nie to samo.

Spotykali się tam w dużej mierze „prawdziwi” poeci, ludzie utalentowani, którzy przeszli swoisty „chrzest” ocen krytycznoliterackich dokonywany przez wybitnych, znakomych krytyków oraz starszych poetów. Tak zwana „profesjonalna” literatura miała się względnie dobrze. Istniało coś w rodzaju selekcji naturalnej. Autorzy najsłabsi po prostu odpadali.

Proces normalny. Jeszcze dawniej, w czasach Skamandra, na miano poety trzeba było sobie solidnie zasłużyć. Znamy z różnych wspomnień zjazdu poetów w Pławowicach u Ludwika Hieronima Morstina. Bywali tam m.in. Tuwim, Słonimski, Iwaszkiewicz, Pawlikowska-Jasnorzewska, Zofia Starowiejska-Morstinowa, Maria Morstin-Górska, Jarosław Iwaszkiewicz, Józef Wittlin, Leopold Staff, Jan Lechoń, sam gospodarz Ludwik Hieronim

Morstin, Emil Zegadłowicz. To byli twórcy wybitni, tworzący znaczącą literaturę polską okresu międzywojennego.

A dziś? Dziś zbierze się kilka bliżej nieznanych paniuś i jeden facet, i już mamy na facebooku zdjęcie z podpisem: „Międzynarodowy Zjazd Poetów w Pipidówce”. W ten sposób niektórzy uzurpatorzy i odrzuceni kochankowie Muzy dowartościowują się w samozwańczy sposób. To tak, jakby zdjęcie grupki znachorów podpisać „Międzynarodowy Zjazd Lekarzy Specjalistów”. A ktoś, kto doradził komuś, co robić np. na ból gardła, od razu został obwołany wieszczem – uzdrowicielem. Tymczasem każdy, kto napisał pocziwy, nasycony szlachetnością i dydaktyzmami wierszyk, od razu jest twórcą, podpisują go „poeta” Iksiński, a najlepiej „znakomity poeta Iksiński”. Trudno. Żyjemy w epoce podrobek, sztucznych wiekopomnych nagród i innych „wypróżnień” literackich.

Czytam właśnie dużą księgę biograficzną (536 stron) „Konopnicka jakiej nie znamy” pióra Marii Szyrowskiej, rzetelnej autorki, świetnej pisarki. Poza tym była przemiłą osobą, autorką wielu znakomych książek. Poznałem Marię Szyrowską podczas mojej pracy w Instytucie Wydawniczym PAX. Potem jednocześnie odbieraliśmy w 1975 roku Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka, ona literacką, a ja młodych. Z tym większym zainteresowaniem i zaufaniem do przedstawianych faktów czytam teraz „Konopnicką...”. Zauważam daleko idące analogie pomiędzy światkiem literackim przełomu XIX i XX wieku, a dzisiejszym. Ta sama bufona, koleśstwo, lansowanie się nadejtych miernot – skąd to znamy? Z krytyką literacką było nieco lepiej. Uprawiali ją ludzie wykształceni, predestynowani do uprawiania tego zawodu. Potrafili ostro zjechać autora, innego pochwalić. Oczywiście, nie byli nieomylni, niektórym dostawało się niesłusznie. A teraz? Niech mi Pani wskaże jakieś negatywne recenzje. Kolesie piszą kolesiom laurki, a jeśli któryś się wychyli, zostaje okrzyknięty jako ten, który się nie zna, jest niekoleżeński. Aby się nie narazić należy największe głupstwo wynieść pod niebiosa. Wtedy bywało podobnie, ale dziś na dużo większą skalę. Warto czytać biografie i wspomnienia, bo w nich odbija się ta specyfika ówczesnych i dzisiejszych środowisk twórczych. Skoro to trwa od wieków, to może nie ma sensu narzekać?

Jak grom z jasnego nieba którejś marcowej niedzieli z samego rana przyszła bardzo smutna wiadomość. Zmarł Ernest Bryll. A jeszcze w końcu lutego rozmawialiśmy przez telefon, obiecał mi przysłać wiersze na portal Pisarze.pl. W „lepszych” czasach spotykaliśmy się często, zasiadaliśmy w sądach konkursowych, braliśmy wspólnie udział w różnych imprezach literackich. Bywałem u niego w domu, przeprowadzałem z nim wywiad. Zawsze był miły, ciepły, zrównoważony. Ogarnął mnie wielki żal.

Kiedy zmarł, zaczęły hurtowo pojawiać się „wspomnienia”, zdjęcia, na których ich autorzy pozują razem z Poetą. „Znałem go”, „przyjaźniliśmy się”, a nawet „cenił moje wiersze” – tego rodzaju wpisy zaczęły się pojawiać

nagminnie. Tak, najwięcej przyjaciół mają wielcy nieboszczycy oraz ich katafalki, w cieniu których można się dowartościować. Przypomina mi się w tej sytuacji następująca anegdota: chłopiec podchodzi do faceta łowiącego ryby. „Biorą?” – pyta. A facet: „odp... się gówniarzu”. Po latach ukazuje się opasła książka „Moje rozmowy z Leninem”.

Obecnie kontempluję z ciekawością „Rynek 11”, rzecz złożoną ze swoistych migawek wspomnieniowych, autorstwa Eugeniusza Kurzawy, świetnego poety i pisarza. Autor wpadł na znakomity pomysł takiego właśnie zapisu „migawkowego”. Trudno by było dokładnie odtwarzać wszystko, co wydarzyło się w życiu po kolei, tworzyć jedną, spójną chronologicznie konstrukcję. Mamy tutaj swoisty „przeгляд pamięci”. Utrwalone zostało to, co najwaźniej domagało się opisu, ocalenia. Najważniejsze bowiem są te fragmenty, które się najostrej zapamięta, bo świadczą o ważności wydarzeń widzianych z oddali, a więc także poddanych jakiejś „naturalnej selekcji”. Została jednak zachowana chronologia poszczególnych zdarzeń z dzieciństwa, młodości, czy aktów z życia rodziny Kurzawów. Urzeka barwna, wartka narracja. „Rynek 11”, to nie tylko swoisty dokument, ale kawał dobrej literatury.

Nie można wyzywać się wspomnień. To one sprawiają, że choć na moment odzyskujemy spokój, wskrzeszamy w sobie chwile, które nie wrócą, ale w nas trwają żywe. To stwarza pewien emocjonalny azyl, tak potrzebny dla zachowania psychicznej równowagi czyli po prostu zdrowego rozsądku.

Bardzo polecam Pani tę książkę, zwłaszcza teraz, gdy pokój światowy wisi na włosku. Kiedy jestem w pokoju(!) przy stole, myślę, że niedługo może nadejść taki czas, że będę siedział w jakiejś piwnicy, i tylko wyobrażał sobie tę zupe, którą dziś właśnie ugotowałem. Będę też myślał o ciepłym mieszkaniu, z którego teraz jeszcze korzystam, o tych wszystkich książkach, w których świat jawił się jako miejsce względnie bezpieczne. Wprawdzie „sojusznicy” zapewniają, że wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, ale historia niejednokrotnie pokazała coś zupełnie innego. Kiedy w 1939 roku włoski się urwał, nikt nam nie przyszedł z efektywną pomocą. Może niepotrzebnie o tym myślę? Może to chorobliwie przewrażliwienie? W każdym razie maj, czerwiec, lato, wakacje wydają mi się takie niepewne. Obym się mylił.

Alle nie wpadajmy w panikę, nie bądźmy pesymistami. Natura wokół rozwija się bujnie i z ufnością. Co będzie, to będzie. Zatem życzyć Pani owej ufności oraz stoickiego spokoju –

Stefan Jurkowski

